

KLIESZCZE Słowińska

Żywica, zapach mchu,
łzy, jej łzy, rozpacz, strach
i na koniec zapach śmierci.

**Anna
Dalia**



KLESZCZE

ANNA DALIA
SŁOWIŃSKA

© Copyright by Anna Dalia Słowińska & e-bookowo
Projekt okładki i zdjęcia: Katarzyna Olter
Opracowanie graficzne: Filip Kowalski

ISBN e-book: 978-83-8166-019-8
ISBN druk: 978-83-8166-020-4

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie I 2019

W pracach redakcyjnych uczestniczyli studenci Instytutu Informacji Naukowej i Bibliotekoznawstwa Uniwersytetu Wrocławskiego w ramach przedmiotu opcyjnego *Jak wydać własną książkę* w roku akademickim 2018/19.

Dedykuję tę powieść moim córkom Małgorzacie i Elżbiecie
oraz moim wnukom Ulci i Mateuszowi.

Przypadkowa zbieżność imion, nazwisk i zdarzeń; historia od początku do końca wymyślona. Wszystkie postaci w tej książce są fikcyjne, jak również opisane domy i zabudowania.

[Kup książkę](#)

ROZDZIAŁ 1

Pociąg wyraźnie zwalniał, zbliżając się do stacji Nowa Dęba. Mecenasa Małgorzata Wiśniewska w zamyśleniu spoglądała przez otwarte okno na las. Przed oczami przesuwał jej się piękny widok: drzewa, drzewa, drzewa... Przeważnie sosny. Rosły prosto, jakby chciały dosięgnąć nieba, a ich gałęzie tworzyły coś w rodzaju dziurawego dachu, przez które przedzierało się wczesnopołudniowe słońce. Rzucało długie promienie światła na jasnozielone paprocie, tworzące leśne pokrycie.

Kiedyś, kilkanaście lat wstecz, Małgorzata, jako młoda dziewczyna, bardzo mocno zaprzyjaźniła się z tym wysokim, sosnowym cudem przyrody, z każdą jego ścieżką, z każdym jagodowym krzakiem, z każdą dorodną paprocią. Ale to było kiedyś.

Od kilkunastu lat pani mecenas rzadko tu przyjeżdżała, bo... Gdzieś tam, wstydliwie, w samym czubku głowy zakorzenione było, że to *bo*, tożsame jest z powiedzeniem: „nie, bo nie”. Wzruszyła ramionami. Tak naprawdę najtrudniej się przyznać do własnej ciasnoty umysłowej.

Jednak ciasna na umyśle niby nie była, czyli co pozostawało? Tchórzostwo, wygodnictwo? *A może tylko zapracowanie?* – nieśmiała myśl zaświtała w jej głowie i natychmiast zgasła jak zdmuchnięta świeczka.

Nie, zdecydowanie nie o to chodziło.

Pociąg gwałtownie szarpnął i zahamował, na skutek czego wleciała w szeroko rozstawione nogi jakiegoś nastolatka. Ten syknął ze złością, a ona przeprosiła jak nakazywała kultura. Następnie ściągnęła z półki niewielką, elegancką torbę podróżną i odprowadzona wzrokiem uszkodzonego mężczyzny, zbliżyła się do wyjścia.

Może jakoś uda się otworzyć te drzwi, pomyślała. Bywało, że w pociągach tego typu, gdzie jeszcze nie dotarła nowoczesność, miewała z tym kłopoty. Spojrzała z niepokojem na boki. Żadnego siłacza płci męskiej w zasięgu jej oczu niestety nie było.

Spociła się ze zmęczenia i emocji. Miała już dość tej kilkunastogodzinnej podróży w wyjątkowym „komforcie” i drażniących myśli. Szarpnęła drzwi z całej siły. Nic. Czyli niepokój był słuszny – ani drgnęły. Jeszcze trochę i pojedzie do Kolbuszowej. Szarpnęła jeszcze raz. Udało się. Złamał się za to artystycznie zrobiony paznokieć. Zabolało.

W ostatniej chwili wysiadła z pociągu, ostrożnie stawiając kroki, bo obcas gotów był zawadzić o schodki i zabolałoby jeszcze bardziej.

Pociąg odjechał, a ona rozglądnęła się, wycierając mokre od potu czoło. Nie było tu żadnego dworca, jedynie wiata od deszczu i kilka ławeczek, a wokoło las. Sporo drzew w pobliżu torów wycięto, co stwarzało bardziej otwartą przestrzeń, niż to co zapamiętała z czasów dzieciństwa. Tak czy siak było to pustkowie. Na dodatek blisko cmentarza.

Wuj, którego spodziewała się zastać na ławeczce jeszcze nie dotarł, co ją trochę wytrąciło z równowagi. Nikt również nie wysiadł z pociągu, a zawsze byłoby różnie. Nie było także w zasięgu oczu postoju taksówek.

Szlag! Przekląła, bo i jak tu iść na tym obcasie. Niewielkim, bo niewielkim, ale jednak. Poza tym droga do domu wuja – dobre trzy kilometry – prowadziła wzdłuż lasu.

Natomiast wielce optymistycznym był fakt, że Nowa Dęba miała przyjazny zdrowiu klimat i pachniało tu żywicą. Wciągnęła więc w piersi aromatyczny zapach i z westchnieniem ruszyła przed siebie, tłumacząc w duchu wuja: *pewnie cierpliwie czeka na jej telefon, tym bardziej, że już go wcześniej informowała, iż pociąg się spóźni i zadzwoni jak będzie dojeżdżać do Nowej Dęby*. Ale jak pech to pech – nie było zasięgu. A wuj na dodatek nie bardzo rozumiał o czym mówi.

– Pociąg? Jaki pociąg?

– No... taki zwyczajny, dość długi... – zażartowała.

Nie odpowiedział, więc i ona milczała, bo i po co tłumaczyć oczywiste fakty? Dzień wcześniej informowała przecież, że samochód w naprawie. Co prawda późno wieczorową porą i może tego nie zarejestrował w swoim umyśle, bo o tej porze już pewnie wyrwała go ze snu, bądź też z drzemki.

Nic to, pomyślała idąc dalej. Nikt jej chyba nie napadnie, a w międzyczasie może złapie zasięg. Albo i na horyzoncie jednak pojawi się wuj, bo był bardzo skrupulatny jeśli chodzi o raz dane słowo. Powiedział, że wyjedzie po nią, to wyjedzie. Tyle, że ona już może być w połowie drogi, a na dodatek z duszą na ramieniu. Ot, zwykły ludzki strach. Tylko kompletni idioci go nie odczuwają. Jest w końcu czynnikiem naturalnym, a tym bardziej, że komuś zasłużonemu w cudzysłowie i w biznesie skutecznie nie pomogła, choć tego najwyraźniej od niej oczekiwał.

– *Słodziutka, jesteś najlepsza. Wyciągniesz mnie z tego! Nie ma innej opcji* – powiedział. – *Pieniądze nie grają roli, przekup kogo potrzeba* – dodał i na dodatek zagroził palcem tuż przed jej nosem i to tuż przed rozprawą. Na dodatek uśmiechnął się zwycięsko.

Wiedziała od pierwszego spojrzenia, od pierwszej rozmowy, że ten mężczyzna w średnim wieku, o mętym spojrzeniu jaszczurki,

to wyjątkowa szuja. W jego oczach czał się mord. Kiedy zorientowała się w trakcie rozmów, jakim jest człowiekiem i na co go stać, było już za późno, aby się wycofać. No cóż, zgodziła się go bronić i broniła. Z całą pewnością dostał mniejszą karę, ale i też z całą pewnością nie zrobiła wszystkiego, na co było ją stać. Co to, to nie! Nie była byle adwokatem ze zwichrowanym moralnym kompasem. Przeciwnie.

Kiedy po ogłoszeniu wyroku spojrział na nią mrocznym wzrokiem, pomyślała, że jednak dopadnie ją wcześniej niż później. A jak nie on sam, to jego kumple.

Coś się w niej zamknęło na moment, jak muszla w obliczu zagrożenia. Szybko jednak odpędziła niepokój. Byle gadzina będzie ją straszyć... Ale też wiedziała, że z mafią nie ma żartów, więc niepokój wracał jak bumerang.

Zdarzało się też, że dopadało ją zimno, a już szczególnie po kilku telefonach, kiedy to za każdym razem słyszała: *Śłodziutka, pilnuj się...* i przyspieszony oddech. Tylko jeden człowiek tak ją nazywał i dobrze wiedziała kto nim jest.

Bawił się nią, straszył, czy mówił serio?

W każdym razie pilnowała się. Zrobiła kurs samoobrony. To się zawsze przyda. Kupiła broń, którą przekładała z torebki do torebki, prawie jak grzebień, lusterko, pomadkę i gaz na wściekłego psa. Tych wściekłych psów, czyli szubrawców, kręciło się po świecie w końcu sporo i nigdy nie wiadomo czy się na takiego nie wpadnie. Od jakiegoś czasu miała też ochroniarza słusznej budowy.

Ten przystojniak był jej pomagierem, czyli wielce przydatnym detektywem. Zbierał dla niej różne informacje a przy okazji często instruował, w które miejsce kopnąć, aby zabolalo. Udzielał jej również innych cennych porad typu: palec w oko.

Na wszelki też wypadek, po kilku telefonach od Śłodziutkiego, przeprowadziła się z Poznania do Piły. Zresztą tak naprawdę, strach nie był jedynym powodem, a bardziej interesy nią kierowały.

Kolega po fachu, Romek Niedźwiecki, otworzył przed nią nowe perspektywy, które były całkiem, całkiem. Została jego współniczką w dużej kancelarii adwokackiej. Pociągnęła też za sobą swego ochroniarza. Wynajęła mu małe mieszkanie w pobliżu swojego.

Dziś, Zbyszek Figurant, miał wolne. Nie było powodu, aby go za sobą ciągnąć na rodzinną imprezę aż do Nowej Dęby, miasta oddalonego prawie sześćset kilometrów od Piły. Kumpie *Słodziutkiego* nie mogli o tym wiedzieć, mimo to nie czuła się na tym odludziu komfortowo, więc wyjęła gaz. Ba, szczerze mówiąc, miała pietra jak stąd do nieba, ale i też miała palec, a nawet dziesięć, i odpowiedni but na szpilce, jakby co.

Tak zabezpieczona na wszystkie sposoby ruszyła przed siebie, czując jednak niepokój.

Na jej szczęście z zakrętu wyłonił się wuj Teodor z narzeczoną i niewielkim pieskiem na długiej smyczy.

Z daleka już otwierał szeroko ramiona. Odetchnęła z ulgą i zaprzestała dywagacji samej ze sobą, co też ewentualnie mogłaby wykorzystać w razie W. Strach uleciał jak ręką odjął.

Wuj – metr osiemdziesiąt pięć, narieczona i pies – mały, bo mały, ale zawsze pies. Razem do kupy to siła. No i jeszcze uzbrojona torebka, gaz, i szpilki. Niewysokie, ale jednak dobrze dopasowane do nogi. Uśmiechnęła się.

– Witaj, Małgosiu, poznaj moją panią, moją kruszynkę – powiedział Teodor z uśmiechem i dumą w głosie, która aż go rozpie-rała, co widać było gołym okiem.

Narieczona Teodora, kobieta koło pięćdziesiątki, była uderzająco piękną szatynką, niezwykle wiotką i niewielkiego wzrostu. Rzeczywiście kruszynka. Określenie pasowało jak ulał. Nie pasowała tylko w żaden sposób do wujka.

Podawał Małgorzacie rękę i uśmiechnęła się przyjaźnie. Kiedy ich oczy spotkały się, coś zatańczyło w spojrzeniach. Krótki taniec sympatii między osobami, które widzą się po raz pierwszy.

– Mów mi Irena. Przepraszamy za spóźnienie, to moja wina – powiedziała lekko i zaśmiała się z wdziękiem. Ten lekko ochryply śmiech i dołeczki w policzkach dodawały jej uroku. Była śliczna.

– Nie jej wina, tylko moja – sprostował wuj, wypinając pierś do przodu – zebrało mi się na pieszczoty i stąd... – urwał, robiąc znaczącą minę. – Jak widzisz, Małgosiu, wszedłem na drogę rozpusty – dodał po chwili i spojrzał roziskrzonym wzrokiem na swoją narzeczoną.

– No cóż – zachichotała Małgorzata. – Kiedyś ta pora musiała nadejść, wujku. Nic się nie stało. Rozpusta i życie bywają piękne – zapewniła humorystycznie i mrugnęła do niego oraz Ireny okiem.

Wuj skwapliwie przytaknął, kiwając energicznie głową. To było nowością, ponieważ ostatnimi czasy rzadko jej przytakiwał, a właściwie wcale. Kiedyś nie uznawał tego typu żarcików.

No, no, miłość jednakże czyni cuda.

– Jaką miałaś podróż? Zmęczona bardzo? Dlaczego nie przyjechałaś samochodem? Co, znowu w naprawie?! Dlaczego takie duże opóźnienie? A nie stać cię, moja droga, na coś lepszego? – zasypał siostrzenicę gradem pytań, kąśliwym tonem. W żaden sposób nie pasował do uśmiechniętej szeroko Irenki, co stwierdziła po raz drugi i chyba nie ostatni.

– Mój staruszek w warsztacie. Rozsypał się i to na dodatek wczoraj, mówiłam ci – przypomniwała. – Bywa, o nowym pomysłem, choć i ten nie był aż tak stary jak ja – poinformowała z humorem. – A tak poza tym nie mogłabym nic wziąć na ząb! Nie ma tego złego... – dodała ze śmiechem.

Teodor mrużąc oczy przez chwilę studiował twarz siostrzenicy. Coś mu wyraźnie nie pasowało.

– Wczoraj? Wczoraj się rozsypał jak to pięknie nazwałaś? A... i stąd ten pociąg! – odkrył z miną geniusza. – A swoją drogą, przed tak daleką podróżą trzeba samochód sprawdzić. To ty o tym nie wiesz? Ile ty masz lat? Piętnaście?

– Coś bliżutko koło tego. Na jeden boczek – dodała z mrugnięciem oka.

Irenka roześmiała się perliście, ale i z zażenowaniem spojrzała w oczy narzeczonego. Nie zrozumiał.

– Boczek? – zdziwił się.

– No tak, na jeden. Na drugim nieco mniej, ale daj spokój, wujku. Nie o boczki chodzi.

Dał, ale nie do końca.

– Na jak długo przyjechałaś? Chyba nie na jeden dzień? – zaczął pytać o konkrety, wyraźnie szykując się do ataku. – No więc? Ile to już lat nie miałem przyjemności... – Zaczepił ją również wzrokiem. Cały Teodor. To nic, że na wydaniu. Zanim to sobie uzmysłowi może być za późno.

No trudno. Każdy pracuje na swój los.

Obróciła w palcach pasek torebki.

– Na dwa dni – uściśliła. – We wtorek muszę być w pracy, no ale twoja siedemdziesiątka, wujku, to priorytet i jeszcze zaręczyny... Gratuluję i bardzo się cieszę. – Spojrzała na śliczną Irenkę.

– A nie było jakiegos innego połączenia? Tyle godzin w pociągu... i z przesiadkami? – Wuj wyraźnie się zmartwił.

– Nie było. Przykro mi. Przystudiowałam cały Internet. Z Piły ostatnimi czasy są kiepskie połączenia, a pociągiem jedzie się długo, że nie powiem bardzo długo, bo i ze trzy razy muszę się przesiąść i wszędzie poczekać. Poza tym chciałam tu dotrzeć możliwie jak najszybciej i o przyzwoitej porze – poinformowała i potarła zmęczone oczy.

– No właśnie! Długo się jedzie. Jakbyś nie mogła wybrać sobie innego miejsca na stałe osiedlenie. Nie potrafię tego pojąć. Doprawdy, nie potrafię – wymruczał i umilkł.

Wzruszyła niegrzecznie ramionami. Po chwili się zreflektowała.

– Przepraszam, dzień się zaczął koszmarnie i bardzo wcześnie, czyli w środku nocy i jestem umęczona jak stary koń, co idzie pod górkę.

Kiwnął głową, choć z całą pewnością nie dotarło do niego, co znaczy „dzień w środku nocy”.

Ucieszyła się, że przeprosiny tak gładko przeszły jej przez gardło i że wujek nie żądał bardziej skrupulatnych wyjaśnień. Może tylko na razie. Nie ma pewności, czy do tego nie wróci.

– Jesteś współniczką Teodora? – zapytała i zwróciła wzrok w stronę Ireny, nie dając wujowi szans na rozwinięcie tematu w kierunku dnia i nocy, Piły, czy też długiej jazdy pociągiem z przesiadkami. Albo i nie daj boże konia co idzie pod górkę.

– No... tak to można nazwać – zawahała się Irena. – Przejęłam kancelarię w Tarnobrzegu, a Teodor pracuje na miejscu. Dobrze wiem, Małgosiu, co znaczy praca na kilka frontów i stałe rozjazdy. Ale tak jest dobrze. Po pracy można rzeczywiście odpocząć i żaden klient nie puka do drzwi, a odległość to pestka jak się ma dobry i szybki samochód – dodała. – W dużych miastach pokonuje się nie takie odległości. Czyż nie? – spojrzała Małgorzacie w oczy, lekko przekrzywiając głowę.

Była naprawdę w porządku, ale chyba słabo się znała na starzejących facetach i na odległościach w niewielkich miastach. Bo Piła to nie Warszawa ani Kraków.

Irena uśmiechnęła się, ukazując rząd równych zębów.

– Nieważne, droga w sumie niezła, a na odcinkach, gdzie króluje las, można trochę wcisnąć pedał, a las jak wiesz...

– Pachnie żywicą – dokończyła Małgorzata.

Irena skinęła potakująco głową.

Emanowała magnetyzmem, toteż nic dziwnego, że Teodor zakochał się w młódce, zważywszy na jego słuszny wiek. Ale co kierowało nią? Była zdecydowanie miła, zdecydowanie piękna, i zdecydowanie elokwentna. Z całą pewnością taki wybór kandydata na męża nie był z braku laku.

Pieniądze? A fe, cóż za myśli!

Inteligencja i błyskotliwość wuja?

Może? Kto to wie?

Może tylko ona tego nie dostrzega?

Niewątpliwie w czasach jej wczesnej młodości wuj takim był. Szczególnie w sferze porad wszelkiego rodzaju. I kiedy zastępował jej ojca, pouczając czy strofując, ale zawsze z humorem. Dzisiaj go widziała jako podstarzałego mężczyznę i za nic nie mogła wpasować się w jego sposób myślenia.

Ciekawe jak to robi Irenka?

No cóż, życie jest niezbadane, podobnie jak kierunki, w które strze-la Amor, pomyślała na koniec i zerknęła tym razem na wuja. Zmienił fryzurę i okulary. Ogolił także wąsik, który od lat niezmiennie zdobił jego pociągłą, niebrzydką twarz o śniadej cerze.

Prezentował się całkiem, całkiem. Był w jasnym garniturze i czarnej koszuli rozpiętej pod szyją, na której królowała gustowna jedwabna apaszka. W jego oczach akurat iskrzył humor. Szczególnie, gdy spoglądał na Irenkę, bo na Małgosię patrzył bez błysku w oku, chyba że był to błysk złośliwości. Nic to i tak bardzo go kochała. Było nie było, brat rodzony mamy i jedyna rodzina jaka jej pozostała. A miłość przyjmuje się wraz z jej dobrodziejstwem.

Teodor przerzucał wzrok a to na Irenkę, a to na nią, i nie miała wątpliwości, że szykuje jakieś słowne rewelacje okraszone sensacją. Zresztą nie dalej jak dwa dni wcześniej zrobił telefoniczny i tajemniczy wstęp, potwierdzając jej przypuszczenia, że jednak określenie – „podstarzały”, pasuje do niego.

– Już wiesz?

– O czym? Co nieco wiem.

– To wiesz czy nie wiesz?

– Wiem, że niebawem się spotkamy i wiem, że będziemy tańczyć na twoim weselu. Będzie wesele? Panna młoda, to panna? – upewniła się, bo Teodor zawsze w przeszłości zarzekał się, że tylko, ewentualnie, jeśli już itd. – czyli z panną, na co ona zawsze wybuchła niepohamowanym śmiechem i zupełnie nie rozumiał z czego się tak cieszy. Aż do łez.

- Więc pytam, moja droga, i nie zmieniam tematu, czy już wiesz?
- O czym? – Bardzo cierpliwie powtórzyła.
- Najnowsze sensacyjki... – urwał.
- O wszystkim mi opowiesz jak przyjadę – skwitowała.
- Nie musiała zbyt długo czekać. Teodor sam wszedł w temat.
- Pytała o ciebie Wanda Zaorska. Dzwoniła ze dwa albo i trzy razy. Koniecznie chce z tobą porozmawiać, Małgosiu. Koniecznie – wyartykułował. – Z pewnością będzie to coś arcyważnego. I nie wiem doprawdy jak to zrobisz, skoro przyjechałaś na dwa dni, a właściwie półtora. A może się mylę?
- Miała wrażenie, że to nie są jeszcze te rewelacje, choć najpewniej związane z jej przyjaciółką. Uśmiechnęła się pod nosem. Znała Teodora jak swoje niesforne loki, które roztrzepywał ciepły, późno wrześnieowy wiatr.
- Nie, nie mylisz się w tej kwestii – odpowiedziała krótko i zwięźle.
- A w innych? – Zajrzał w jej oczy.
- Powiedzmy, że każde z nas ma swoje racje i pozostaniemy przy nich – odpowiedziała.
- Mm.... – Teodor zamruczał i zamilkł. Zaćwierkały ptaki. Wuj milczał, kiwając do siebie głową.
- Kiedy rozmawiałeś z Wandą, wujku? – spytała, przerywając jego medytacje.
- Dzisiaj rano. Telefonicznie – odpowiedział. – Niewątpliwie twoja przyjaciółka ma ci coś ważnego do zakomunikowania. Niewątpliwie – uzupełnił z krzywym uśmiechem. – Pewnie dawno nie rozmawialiście? – Spojrzał spod byka.
- No rzeczywiście... Dość dawno, wujku – potwierdziła. – Chroniczny brak czasu. Ale nie widzę problemu, wujku. Zaraz po obiedzie skoczę na małe zakupy, bo jak zwykle robiłam wszystko w biegu no i zapomniałam o kilku niezbędnych drobiazgach, więc przy okazji wpadnę do Wandy. Chyba po drodze będzie otwarty

jakiś sklepik lub kiosk ruchu? Musi mi też Wanda uzupełnić paznokiec żelem.

Teodor kiwnął głową. Uśmiechnął się krzywo.

– Paznokiec? Żelem?

– Złamałam, a Wanda potrafi to zrobić.

– Prawdopodobnie, o ile będzie mieć głowę – skwitował krótko i gwałtownie urwał. – A ten twój samochód? Co się tak właściwie stało? Chyba niedawno zmieniałaś swoją karetę na nowszy egzemplarz? – Wuj zbagatelizował jej paznokiec i starał się być zabawny. Zapomniał też, że już o tym wcześniej mówiła.

Wzruszyła ramionami. Kruszyńska zapewne motywowała wujka, ale koncentracja i pamięć to już była jednak nie ta co kiedyś.

– No, nówka z salonu to też nie była, wujku, a może zbyt dużo go eksploatuję lub też źle trafiłam. Powiedzmy, że zwyczajny pech. Bywa i tak – westchnęła. – Mam nadzieję, że ugotowałaś coś smacznego, wujek, bo zgłodniałam i burczy mi w brzuchu nieprzyzwoicie. Pociąg stawał po drodze kilka razy, a to w lesie, a to na mniejszych stacjach zupełnie bez sensu, a ja bez śniadania. Wypiłam tylko kawę i zjadłam batonika. Smacznego zresztą. No tak, nasze realia, skąd ja to znam – dodała, zmieniając temat.

– Ja coś tam ugotowałam – wtrąciła szybko Irena – mimo że nie jestem zbyt dobrą kucharką. Zapraszam do siebie – dodała ze śmiechem.

– Jesteś, jesteś, moja Kruszyńko. – Teodor obrzucił Irenę znaczącym spojrzeniem. Na te słowa jej twarz rozjaśnił uśmiech, a dołeczki w policzkach przypomniały Małgorzacie mamę. – A swoją drogą, jak można nie zjeść śniadania ani nie zrobić na drogę kanapek? Na tak daleką drogę! To się nie mieści w mojej głowie – dodał.

– A jednak. To proste. Po prostu nie zdążyłam – Małgorzata wzruszyła ramionami. – Mieszkasz niedaleko od Teodora, Irenko? – spytała, zmieniając temat na równie banalny, wciąż nie mogąc wyjść z zaskoczenia na temat zaręczyn tych oto dwojga.

– Ja czasami też nie zdążę zjeść śniadania – szybko wtrąciła Irena, najwyraźniej broniąc Małgorzaty.

– To bardzo niedobrze, Kruszyńko, śniadanie to podstawa. Już ja tego przypilnuję, a teraz chodźmy, bo mi siostrzenica z głodu padnie. Jeden batonik! – powiedział sarkastycznie i chwycił torbę za rączkę.

– Walizeczka sama jedzie... – zauważyła ze śmiechem i zwróciła się do Ireny. – Daleko mieszkasz?

– Blisko kościoła, tego od strony Tarnobrzega, ale jesteśmy samochodem. Stoi zupełnie niedaleko, za zakrętem – poinformowała i wskazała ręką widocznego już czarnego mercedesa. – Postawiliśmy go trochę dalej, żeby nasza psinka zażyła ruchu. Nie dzwoniłaś, więc...

Kiedy mówiła, słychać było radosne brzmienie jej głosu. Niewątpliwie budziła sympatię.

– Jesteś z Nowej Dęby? Jakoś cię nie zapamiętałam, a pamięć mam chyba niezłą – zapytała Małgorzata i zmierzyła Irenę spojrzeniem, marszcząc brwi, i usiłując ją sobie przypomnieć.

Irena zaprzeczyła.

– Z Tarnobrzega, a właściwie z Miechowa – odpowiedziała – a ten dom kupiłam całkiem niedawno i okazjonalnie, a tak po prawdzie to kupiliśmy go razem z Teodorem. Ktoś potrzebował szybko pozbyć się tego cudenka i skorzystaliśmy z okazji – dodała z zadowoleniem. – Lubię małe, spokojne miasteczka – stwierdziła, kiwając do siebie głową. – Choć bynajmniej nie są anonimowe. Wszyscy się znają – dodała, a przez jej twarz przemknął cień niepokoju. – Daj torbę do bagażnika, Małgosiu i wsiadaj. – Kruszyńska wskazała samochód.

Po dziesięciu minutach byli na miejscu.

– Oto i nasz dom – powiedziała z dumą i gestem zaprosiła Małgorzatę do środka.

To rzeczywiście było cudenko okolone dużym ogrodem pełnym kwiatów, dobrze przyciętej trawy i innych oryginalnych bajerów – łącznie z małym basenikiem.

– No, no... oryginalnie – zachwyciła się Małgorzata. – Nie przypuszczałam, że w Nowej Dębie są tak piękne domy – dodała, wchodząc do środka.

– Rozgość się. Tu jest łazienka – Irena wskazała ręką. – A ja szybko podgrzeję obiad – powiedziała miękko.

– Interesujące wnętrze, bardzo. Sama urządziłaś, czy zastałaś to wszystko? – Małgorzata rozglądnęła się wokół. – Ślicznie. Widać rękę architekta. Wszystko dopasowane i dopieszczane aż do najmniejszego szczegółu.

– Mnie się też podoba. – Irena roześmiała się perliście. – Po ślubie Teodor przeprowadzi się do mnie, a twoja scheda po mamie... też piękna... – urwała i spojrzała Małgorzacie pytająco w oczy. – Sprzedasz dom? – spytała po chwili i nie czekając na odpowiedź weszła do kuchni.

– Zastanowię się, a póki co, pomogę ci w kuchni.

– Ależ nie trzeba, już wszystko gotowe. Skorzystaj z łazienki, położyłam czyste ręczniki – powiedziała już z kuchni – i zapraszam do stołu. Możesz rozłożyć też sztucze, Małgosiu.

– W porządku, poczekaj chwilę, nieco się odświeżę – odpowiedziała Małgorzata, wyciągając z torby swoją ulubioną żółtą sukienkę i szpilki tego samego koloru.

O tej porze roku słońce najwyraźniej nie zamierzało odpuścić i sukienka pasowała jak ulał i do pogody, i temperatury.

– Zatem, ty Teodorku, rozłóż te sztucze.

– Tak jest, Kruszyńko – odpowiedział radosnym głosem.

KLESZCZE

Akcja toczy się w małym miasteczku na Podkarpaciu - rodzinnej, miejscowości mecenas Małgorzaty Wiśniewskiej. Podejmuje ona trudne i nietypowe śledztwo w sprawie zabójstwa Jagody Szutkowskiej - matki dwóch dziewczynek.

Okazuje się, że wielu mieszkańców Nowej Dęby mogło chcieć jej śmierci. Prowadzone śledztwo wykazuje, że morderstw jest więcej.

Małgorzata również prywatnie przeżywa trudne chwile, mierząc się z przeszłością i ludźmi, których już nigdy miała nie spotkać. Czy przeszkodzi jej to w odnalezieniu sprawcy?

Anna Dalia SŁOWIŃSKA

mieszka w Pile. Na emeryturze ma czas na rozwijanie swojej największej pasji - pisanie.

Jak sama mówi, to sposób na stres i ucieczka od trudów codziennego życia.

"Kleszcze" to jej szósta powieść.

Pisarka interesuje się także tańcem i teatrem.



Kup książkę